

Emil Cioran: Fragmenty

Obecnie bardziej niż kiedykolwiek należałoby wznosić klasztory – dla tych, co wierzą we wszystko i dla tych, co nie wierzą w nic. Dokąd uciec? Nie ma już żadnego miejsca, w którym można by profesjonalnie uprawiać obrzydzenie do tego świata.

Na szczytach rozpacz, „Być lirycznym”

Być lirycznym znaczy nie móc trwać zamkniętym w sobie. Ta potrzeba uzewnętrznienia jest tym intensywniejsza, im liryzm jest intymniejszy, głębszy i bardziej skupiony. Dlaczego liryczny jest człowiek, gdy cierpi lub jest zakochany? Dlatego, że te stany, jakkolwiek różnej natury i różnie ukierunkowane, wypływają z najgłębszych i najintymniejszych warstw naszego jestestwa, z istotowego centrum naszej podmiotowości, które jest czymś w rodzaju strefy projekcji i promieniowania. Liryczny stajesz się wtedy, gdy życie w tobie pulsuje jakimś elementarnym rytmem i gdy doznanie to jest tak potężne, iż syntetycznie mieści w sobie całość sensu osobowości. To, co jest w nas jedyne i specyficzne, urzeczywistnia się w formie tak ekspresywnej, że pojedynczy osobnik osiąga rangę powszechnika. Najgłębsze subiektywne przeżycia są zarazem doświadczeniami najbardziej uniwersalnymi, gdyż dosiegamy w nich najpierwotniejszych źródeł życia. Prawdziwa interioryzacja wiedzie do powszechności niedostępnej tym, którzy pozostają gdzieś na peryferiach. Pospolita interpretacja powszechności upatruje w tym raczej formę złożoności rozciąglej niż wsobność jakościową, bogatą. Dlatego liryzm jest dla niej zjawiskiem peryferyjnym i poślednim, produktem duchowej niezborności. Tymczasem należałoby zauważyć, że liryczne zasoby subiektywności świadczą o nadzwyczajnej wewnętrznej świeżości i głębi.

Są ludzie, którzy stają się liryczni tylko w rozstrzygających momentach życia, niektórzy zaś wyłącznie w chwili agonii, kiedy cała ich przeszłość aktualizuje się i porywa ich niczym potok. Większość wszakże poddaje się liryczności w następstwie doświadczeń zasadniczych, gdy

wzburzenie najgłębszych warstw ich osobowości osiąga szczytowy paroksyzm. Na przykład kiedy ludzie o nastawieniu obiektywnym i bezosobowym, obcy samym sobie i głębokim aspektem rzeczywistości stają się więźniami miłości – doświadczają uczucia, które uruchamia wszystkie ich rezerwy osobowe. Fakt, że niemal wszyscy ludzie układają wiersze, gdy kochają, dowodzi, że środki myślenia pojęciowego są zbyt ubogie, aby mogły wyrazić ich wewnętrzną nieskończoność i że liryzm, jaki w sobie noszą, może się w sposób adekwatny zobiektywizować jedynie wykorzystując tworzywo płynne i irracjonalne. A czy nie podobnie jest z przeżywaniem cierpienia? Nigdyś, człowiecze, nie podejrzewał, co w sobie chowasz i co skrywa w sobie świat, żyłeś perfekcyjnie i beztrudnie, a tu nagle doświadczenie najpoważniejsze po doświadczeniu śmierci (jako przecuciu umierania) – cierpienie – bierze cię w swoją władzę, przenosząc cię w rejony istnienia niesłychanie skomplikowane, gdzie twoja subiektywność rozpada się na kawałki, jakby ogarnięta potężnym wirem. Być lirycznym wskutek cierpienia znaczy przeżywać proces wewnętrznego płonienia i oczyszczania; wówczas rany przestają być po prostu zewnętrznymi objawami bez głębszych komplikacji, owszem, zyskują udział w samym jądrze naszego jestestwa. Liryzm cierpienia to pieśń krwi, ciała i nerwów. Prawdziwe cierpienie ma źródło w chorobie. Dlatego w prawie wszystkich chorobach kryją się moce liryczne. Tylko ludzie wegetujący w jakiejś skandalicznej niewrażliwości zachowują stosunek bezosobowy do choroby, która skądinąd zawsze prowadzi do osobowego pogłębienia.

Upadek w czas, „O chorobie”

Człowiek dobrze się mający, niezależnie od swych zalet, zawsze rozczarowuje. Nie sposób brać poważnie tego, co mówi, widzieć w tym cokolwiek innego niż preteksty bądź myślowe łamańce. Doświadczenia okropności, jedyne, jakie przydaje naszym słowom wagi, nie znak, tak jak nie ma też żadnego pojęcia o nieszczęściu, bez czego niepodobna komunikować się z istotami *oddzielonymi*, którymi są chorzy. Bo w istocie sam przestałby być zdrowy, gdyby je posiadał. Nie mając nic do przekazania, neutralny aż do utraty tożsamości, tonie w swoim zdrowiu – nic nieznaczącym stanie doskonałości, szczelnego zamknięcia na śmierć i w ogóle wszystko, braku uwagi dla siebie i świata. Dopóki w nim tkwi, jest jak przedmiot; gdy go zeń wyrwać, otwiera się na wszystko i zaczyna wszystko rozumieć. Oto wszechwiedza trwogi.

Ciało, które się emancypuje, buntuje i nie chce więcej służyć – tym jest choroba, *apostazja organów*. Każdy z nich pragnie pohasać na własną rękę; każdy w sposób nagły lub stopniowy odmawia udziału w grze, współpracy z innymi, i rzuca się w przygodę i kaprys. Do tego, by świadomość osiągnęła pewien stopień napięcia, trzeba, żeby organizm cierpiał, a nawet zaczął się rozprzęgać, bo świadomość w swoich początkach jest świadomością organów. Gdy mamy się dobrze, nie wiemy o nich; dopiero choroba nam je objawia, uprzytamnia ich znaczenie i kruchość, a także nasze od nich uzależnienie. uporczywość, z jaką choroba przywołuje nas do ich rzeczywistości, ma w sobie coś nieubłaganego: na próżno chcemy o nich zapomnieć – ona nie pozwala, i ta niemożliwość zapomnienia, w której wyraża się dramat każdego posiadacza ciała, wypełnia nasze życie na jawie. Podczas snu uczestniczymy w powszechnej bezimienności, jesteśmy wszystkimi istotami naraz, ale niech tylko zbudzi nas i potrząśnie nami ból, a jesteśmy już tylko my, każdy sam na sam ze swoją chorobą i z tysiącem myśli, które ona w nas i przeciwko nam roznieca. „Biada temu ciału, które zależy od duszy, i biada duszy, która zależy od ciała!” – te słowa z Ewangelii Tomasza pojmujemy w pełni w środku tej lub innej nocy. Ciało bojkotuje duszę, dusza bojkotuje ciało, biada tedy obojgu, gdyż nie potrafią współżyć, wypracować razem zbawiennego kłamstwa, fikcji na większą skalę.

Zły demiurg, „Paleontologia”

Przypadek – jesienna ulewa – sprawił kiedyś, że wszedłem na parę chwil do Muzeum. Koniec końców miałem w nim spędzić bitą godzinę czy dwie, a nawet trzy. Od tych przypadkowych odwiedzin dzielą mnie już całe miesiące, ale nic nie wskazuje, bym miał zapomnieć owe oczodoły patrzące na człowieka uporczywiej niż oczy, owo rojowisko czaszek, owo mechaniczne szyderstwo na wszystkich poziomach zoologicznych.

W żadnym innym miejscu nie uczymy się tyle o przeszłości. To, co możliwe, tam wydaje się niepojęte albo wariackie. Odnosimy wrażenie, że ciało już na samym początku gdzieś znikło, że właściwie nigdy nie istniało, że absolutnie nie mogło obrastać tych kości tak uroczyście, tak wsobnie samowystarczalnych. W tym miejscu jawi się oszustwem, jakimś szwindlem, przebraniem, które niczego nie ukrywa. Byłobyż

tym? Ale jeśli nie było niczym więcej, to dlaczego budzi we mnie odrazę bądź trwogę? Zawsze czułem predylekcję do tych, którzy mieli obsesję jego znikomości – do Baudelaire'a, Swifta, Buddy... Ciało, coś tak oczywistego, jest przecież jakąś anomalią; im dłużej się nad nim zastanawiamy, z tym większą trwogą odwracamy się od niego. Im częściej je rozważamy, tym chętniej kierujemy się ku minerałowi, ku petryfikacji. Żeby znieść jego widok czy myśl o nim, konieczne jest coś więcej niż tylko odwaga; trzeba do tego cynizmu.

[...]

O wiele bardziej niż szkielet niepokoi nas i alarmuje (ale również uspokaja) ciało – to znaczy ścierwo. Mnisi buddyjscy z upodobaniem odwiedzali place kremacyjne – bo gdzie skuteczniej tłamsić pożądania i uwolnić się od nich? Kontemplowanie okropności jest drogą wyzwolenia, toteż we wszystkich epokach religijnego zapału i uwewnętrznienia nasze szczątki bywały w wielkich łaskach. W średniowieczu panował przymus zbawienia, ludzie wierzyli z mocą. Trup był w modzie, a wiara w niego – silna, niepohamowana, lubiąca się w siności i fetorze, świadoma korzyści, jakie można ciągnąć ze zgnilizny i ohydy. Teraz ocukrowana religia czepia się już tylko wdzięcznych urojeń, jak Ewolucja i Postęp. To nie od niej powinniśmy oczekiwać współczesnego odpowiednika „tańca szkieletów”.

[...]

Błogosławiony był czas, gdy samotnicy mogli zgłębiać własne otchłanie, nie uchodząc przy tym za obsesjonatów i postrzelenców. Ich niezrównoważenia nie mnożono jeszcze przez ujemny współczynnik, jak to dzieje się z nami. Poświęcali dziesięć, dwadzieścia lat na jedno przecucie, na *błysk* absolutu. Słowo „głębia” ma sens jedynie w odniesieniu do epok, gdy za najszlachetniejszego przedstawiciela rodzaju ludzkiego uważano mnicha. Że jest on w zaniku, każdy chyba przyzna. Już od stuleci mnich wegetuje tylko z rozpędu. Do kogóż miałyby się zwracać w świecie, który ma go za „pasożyta”? W Tybecie, ostatnim kraju, gdzie jeszcze coś znaczył, wyeliminowano go. A przecież niemałą było pociechą pomyśleć, że nawet dziś mogłyby tam medytować nad prawdami *Pradźńaparmity* tysięczne rzesze

pustelników. Monastycyzm, nawet gdyby miał tylko szkaradne strony, i tak byłby lepszy od każdego innego ideału. Obecnie bardziej niż kiedykolwiek należałoby wznosić klasztory – dla tych, co wierzą we wszystko i dla tych, co nie wierzą w nic. Dokąd uciec? Nie ma już żadnego miejsca, w którym można by profesjonalnie uprawiać obrzydzenie do tego świata.

Zeszyty 1957–1972

Gdy rozmyślam o przeszłości, bardziej od rozczarowań uderzają mnie porwy entuzjazmu. Gdybym kiedyś spisywał wspomnienia, powinienem je zatytułować *Historia entuzjasty*. Entuzjasty, którego zawsze z uporem usiłowałem podkopać sam (w większym stopniu niż okoliczności zewnętrzne czy kontakt z ludźmi), entuzjasty zdruzgotanego.

[...]

Bez zbytniego zadufania myślę, że co się tyczy dostrzegania, a nawet doświadczenia pustki posunąłem się równie daleko jak niejeden pustelnik indyjski czy tybetański – bo wszystko, co robię i myślę, krąży wokół tej fundamentalnej nierzeczywistości.

A jednak nie mam siły ani chęci zrywania z tym światem. *Po cóż zrywać z czymś, czego nie ma?* Lecz to nie jest odpowiedź. Sądzę, że nie mam powołania duchowego; tak, to chyba to. Stworzony jestem do rozumienia, nie zaś do służenia za wzór, a tym bardziej do *samourzeczywistnienia*.

[...]

Nie należy myśleć o pisaniu książek, lecz o potwierdzeniu kilku istotnych rzeczy, których pod koniec życia nie będziemy musieli się wstydić.

Filozof jest kimś, kto bez końca wyjaśnia własną myśl. Na szczęście artysta nie jest zdolny do czegoś w tak złym guście.

Niefilozofem nazywam tego, komu nie grozi coś w tak złym guście, jak tłumaczenie własnej myśli.

Wszystkie cytaty w przekładzie Ireneusza Kani

Fot. Neagu Djuvara



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego